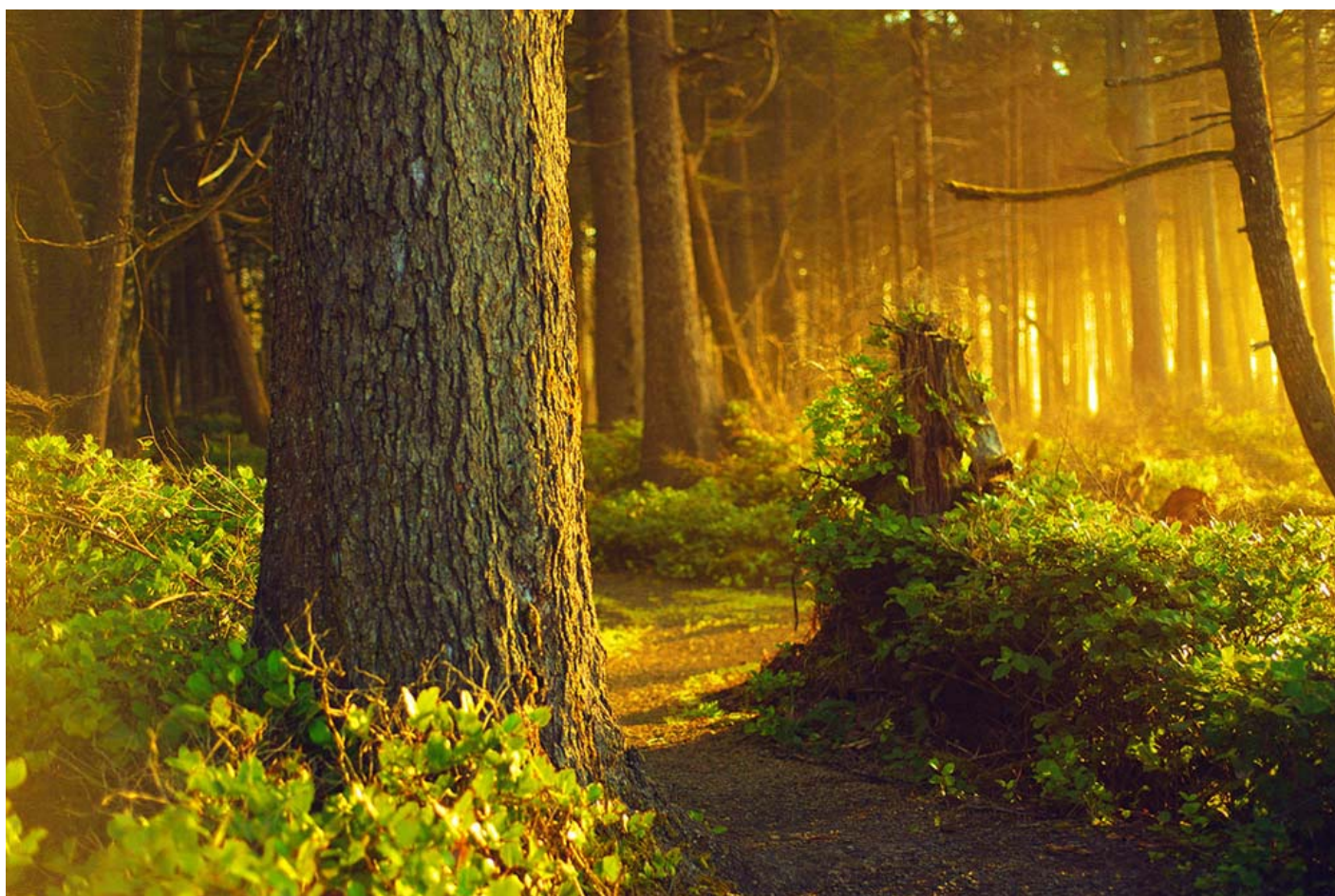


W Jarze



Ryszard Sawicki

- Dopiero marzec - pomyślał Józef. Patrzył na ośnieżoną ziemię, na ciemne pnie drzew, które wydawały mu się drewnianymi kolumnami starego domu, podtrzymującymi dach nad gankiem, ale dom ten i ganek nie były takie jak w budynku, gdzie mieszkał,

niewielkim, obrośniętym dzikim winem, te pnie starych drzew, grube, mocne, były jak kolumny w olbrzymiej świątyni, zbudowanej dla bogów z innego świata niż jego świat, z minionego świata jaki jawił mu się czasem, gdy wchodził do lasu. W leśnym jarze, głębokim i ciemnym nawet wówczas, gdy ziemia wysłana była nieskazitelną bielą śnieżnego kobierca i lśniła w półmroku, w podolskim jarze wyrzeźbionym przez wodę roztopów, a płynącą pod ziemią jeśli nie musiała, z powodu nadmiaru, płynąć po powierzchni. Patrzył na drzewa, które wyrosły długo przed jego pierwszą wizytą w tych okolicach, przed pierwszym zejściem do jaru, do źródła, które biło w jarze. Te prastare drzewa były jego przyjaciółmi, od których, jak mu się zdawało, mógł w trudnych chwilach spodziewać się pocieszenia.

Potrzebował pocieszenia, bo czuł, że *serce smuci się wspomnieniem, a co było dawniej już nigdy nie wróci*, jak wyraził wierszem wstępując do jaru. Układał takie rymy w samotności, a potem, wróciwszy do domu, starał się zapisywać to, co jeszcze pamiętał. Ale zazwyczaj zapominał swoje rymy zanim jeszcze wyszedł z lasu.

Wśród drzew rosnących w jarze rymy dawały się słyszeć jak szum lekki, tajemniczy, niosący się z oddali. Dobiegały nie tylko do uszu, lecz i do duszy człowieka. Szum wiatru w liściach lub szum strumienia mieszał się z tym szumem słów. Szum albo szept raczej, w którym słyszał czasem wabienie – idź do źródła

skąd płyną tajemnice.

Czasem ogarniał go lęk przed tymi głosami. Tłumaczył sobie, że nie musi podążać do żadnego ukrytego źródła, że rozumie wszystkie głosy lasu, a także głosy, które dobywały się z dna duszy.

Znał źródło swego żalu. Pozwalał mu pulsować, ale nie chciał odgarniać liści, które spadły na wodę w tym źródle. Nie chciał zagłębiać się w przebrzmiałe rozmowy, pozwalał im jednak sączyć się z dna pamięci. Pozwalał, by dobiegał go cichy płacz, którego on, Józef, nie zdołał utulić. Pozwalał otwierać się zakamarkom pamięci, w których tętnił żal.

W ciemnym jarze nie słyszeć było głosu dzwonów, bo dzwonnice były daleko za lasami. Ptaki śpiewały też jakby ciszej. Józef wierzył jednak, że cisza jest mu przyjazna. Znał swój las dobrze, był przecież jego strażnikiem. W kościelnej łacinie, w dokumencie jaki otrzymał z klasztoru, dla którego pracował, nazwano go „prefectus silvarum”. Wszystkie drzewa, także i te w mrocznym jarze, a więc jakby bardziej poważne czy nawet smutne, były mu powierzone. Las był dlań powiernikiem jak i on dla lasu.

W jarze wiersze nachodziły Józefa najczęściej. Były zwykłe smętne, jakby zanurzone w mroku, który go zewsząd otaczał po

śmierci żony. Nawet śmiech dzieci, ich zabawy, nie zawsze potrafiły rozweselić wdowca. A kiedy każde z dzieci odchodziło po kolei z domu, zakładało własne rodziny, smutek opanowywał go jeszcze podczas wesela. I dlatego lubił las, lubił stare drzewa, nie tylko te młode, które sadził w okolicy własnymi rękami, o które dbał. Nazywał je swoimi, bo były jego, jemu zawdzięczały życie. Szedł ogarnięty smutkiem do tych starych drzew, pamiętających ludzi, których wcale nie znał, a którzy zapuszczali się do jaru dużo wcześniej niż on go oswoił. Nim zaczął budować z okolicznych kamieni leśną kaplicę, modląc się o łaskę radości.

Wierzył, że radość przychodzi z wiosną. Tak do młodych jak i do starych drzew. Do roślin i do ludzi. Radość, której nie mógł nazywać radością lata. Sądził, że lato jest nie dla niego, że go pominęło. Dojrzałego życia nie potrafił utożsamiać z dojrzewaniem zbóż. Odkąd zabrakło mu towarzyszek życia, odkąd sam musiał troszczyć się o dorastające dzieci, niecierpliwie czekał na każdą wiosnę. Tylko wiosna budziła w nim nadzieję odmiany, radość życia. Ale głos lasu nie był wyrazisty.

Tego dnia, 19 marca 1907 roku, myślał o wiosnie. I mówił do siebie - czemu lata nie zaznałem, choć doń tyle razy wzdychałem; takie losu mego przeznaczenie, nie mając przed kim zwierzyć me cierpienie, wiosnie raz tylko zwierzyłem się o tem, której ufałem tak przed tem jak potem.

Myślał o tym wszystkim co się zdarzyło od przedwczesnej śmierci żony. O powrotach pór roku, o wiecznym upływie czasu. O tym, że niedługo znowu trzeba będzie zająć się pszczołami. Myślał o tych swoich pracownikach, które wymagały opieki nim nazbierały miodu, by go mógł sprzedać i zapewnić sobie dodatkowy dochód, skromny ale ważny, bo jego pensja leśnika nie wystarczała na utrzymanie, na ubrania dla dzieci, na ich edukację.

Myślał coraz rzadziej o Jadwidze, zmarłej żonie, a coraz częściej o Helenie, córce przyjaciela, również leśnika.

Miał wyrzuty sumienia z powodu tych nowych myśli. Wyrzucał sobie każdą wizytę u Ludwików. Wyrzucał sobie pocałunek, na który pozwolił sobie po latach znajomości z Heleną. Ułożył wiersz o tym pocałunku, bo wiersz wydawał mu się mniej jego własną, a bardziej cudzą wypowiedzią, jakby opisem czyjegoś, nie jego własnego doświadczenia. Wspominał wiersze Słowackiego, zwłaszcza ten fragment „Balladyny”, w którym Goplana mówi do Grabca: *Pocałowanie to ślub dla czystych dziewic, na dziewiczym wianie za każdym pocałunkiem jeden listek spada*. Ale odpowiadał sobie wierszem Szymonowicza, w którym także mowa o pocałunku: *Marna rzecz całowanie; ale w tej marności są też swoje przysmaki, są swoje słodkości*. W swoim własnym wierszu usprawiedliwiał się dlaczego pocałował w usta, a nie w policzek. Skarżył się przy okazji, że usta panny

były zimne. I, że była *trzpiotką*. I, nim uciekła *jak dziki kotek*, powiedziała – wesoło, w buzię, z boku, w oczek dwoje, na to chętnie zgodzę się, pozwolę... ale w usta... to... nie higienicznie.

W wierszu przyznał się też, że zawsze całuje w usta, więc tego jednego całusa nie można traktować wyjątkowo... choć był wyjątkowy. Takimi rymami bawił się jakby miał lat kilkanaście, a nie, bagatela, ponad pięćdziesiąt. Cóż, usta panny nie były chyba aż tak zimne. Może jeszcze tego dnia 1907 roku nie wyobrażał sobie, że będą cieplejsze. Może był zajęty budowaniem kaplicy, znoszeniem kamieni, które znajdował w lesie. I modlił się o zmianę losu, jednocześnie wyrzucając sobie te modlitwy.

Wiersz „z jaru” zatytułowany był „Skarga”. W jarze myślał o minionych latach. Nim przeszedł od skargi do całusa, przeżył jeszcze jeden rok, znowu spoglądał na pracujących w polu rolników i sam zbierał z uli miód. *Już kłos dojrzwały powiązany leży, zagonów skiby czernieją od słońca, a lud spracowany rad by dnia końca doczekać i wrócić do domu, do swego ogniska, bo tam zawsze można pełnię sił odzyskać... ja jednak nie mam po co wracać do swej chaty, bo wiatr jesienny rozwiął przed laty żar, który ktoś wzniecał, ktoś umiał podtrzymać*. Tak pisał w marcu 1907 roku, w głębokim jarze, na którego dnie leżał jeszcze śnieg.

Drugi wiersz o pocałunku został zanotowany 9 marca 1908 roku. Ale i wtedy nie wiedział jeszcze, że panna Helena mu naprawdę

przeznaczona. Nie wiedział, że rodzina Ludwika jest bardziej przychylna jemu niż o wiele młodszemu od niego adoratorowi. Nie przypuszczał, że może być jeszcze raz w życiu w pełni szczęśliwym.

Zabiegał o rękę pięknej Heleny przez czternaście lat. Postanowił nie żenić się nim którekolwiek z dzieci z pierwszego małżeństwa nie ułoży sobie życia. Czekał. Chodził po lesie, zaglądał do leśniczówki w Kozłowie. Pisał wiersze. Doglądał pszczół, sadził drzewa. Miał nie tylko kogo, ale i co kochać.

Lasy klasztorne były ogromne. Wieś Gawareczyzna była położona daleko od innych wsi, a do najbliższego miasta, Białego Kamienia, było pięć kilometrów. Wieś zamieszkiwali biedni gospodarze, przeważnie Rusini, i jedna rodzina żydowska. Zajmowali się garncarstwem, uprawą roli, korzystali z darów lasu. Józef nie był bogaty, ale pomagał biedniejszym od siebie sąsiadom. Starał się sprzedawać miód i inne wyroby pszczelarskie, ale tym, którzy nie mogli zapłacić, dawał je za darmo. Tak samo jak nabiał i zioła. Nikt, kto tego potrzebował, nie odchodził z leśniczówki z pustymi rękami. Las był przecież dla wszystkich, darzył zawsze szczodrze, więc nie można było skąpić tych darów.

Las też darzył zdrowiem. I siłą. Taką, jak siła starych drzew rosnących w jarze. I tych młodych, które sadził, a które rosły

szybko, zieleniły się coraz bardziej obficie. Z każdą wiosną dziwiły swego opiekuna wspanialszym listowiem. A w jesieni, tej smutnej, bezlistnej jesieni, wspanialszymi, nagimi konarami.

I jemu, Józefowi, sił i zdrowia nie brakowało. Był, mimo upływu lat, jak mocne drzewo, którego nie ugnie byle wiatr, którego gałęzi nawet piorun łatwo nie odłamie. Żył życiem lasu, który wie jak przetrwać, byle człowiek mu nie zagrażał. Byle nie budował zbyt wielu dróg w tym lesie, ani zbyt wielu domów. Obce mu były kłopoty opiekunów miejskich parków, w których trzeba wycinać co roku jakieś drzewa, usychające przed czasem. Pilnować, by nie niszczone kwiatów i krzewów. Miał inne troski.

Ze swymi troskami zwracał się do Stwórcy, który mieszkał nie tylko w murowanych świątyniach. Do tego, któremu ufał, iż nie zaniedbuje go, jak on nie zaniedbywał lasu. Choć nie przestępował kamiennych progów miejskich świątyń tak często jak nakazywał kościelny obyczaj, to jednak często modlił się sam, bez pomocy kapłanów. I tylko uważał, by modlitwy wznosiły się wysoko, jak przystało, ponad wszelkie korony, także i te najwyższe korony drzew. Na wszelki wypadek wyznaczył sobie pokutniczą pracę zbieracza kamieni. Budował własną świątynię, własnymi rękami. Tak, jak zawsze chciał zbudować swój dom. Ale nigdy nie stać go było na zakup materiału. Więc mieszkał w podarowanej mu na czas pracy leśniczówce, a wznosił dom Bogu, z tego co miał pod ręką, o co nie musiał wypraszać u zakonnic.

Nie musiał też tłumaczyć nikomu po co buduje ten dom, a nie inny. Żył po swojemu.

I kiedy panna Helena odżałowała odejście młodego narzeczonego, zaczął drugie życie. Wychował jeszcze dwoje dzieci. Był znów szczęśliwy.

Józef, mój pradziad, zmarł 9 maja 1936 roku, a więc pod koniec wiosny. Podczas drugiej wojny światowej znikł jego grób w Białym Kamieniu, ale do dziś istnieje leśna kaplica w miejscu, które okoliczni mieszkańcy wyznania grecko-katolickiego nazywają Sawicka Góra. Urządzają tam pielgrzymki i wierzą, że źródło bijące w kaplicy ma moc uzdrawiającą.

Boski Niżyński

sprzedano 1200 biletów, a wielu z widzów przychodzi na spektakl po raz kolejny.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

Wacław Niżyński to jeden z najwybitniejszych artystów baletu XX w. Urodzony w 1889 r. w Kijowie był synem pary tancerzy, absolwentów Warszawskiej Szkoły Baletowej, występujących w Operze Warszawskiej, a potem w wędrownej trupie tanecznej. Gdy miał sześć lat, ojciec opuścił rodzinę. Matka z dziećmi przeniosła się do Petersburga i tam Wacław zaczął się uczyć tańca. Jako 11-letni chłopiec wstąpił do Teatralnej Szkoły

Imperatorskiej. Zadebiutował na scenie Teatru Maryjskiego w wieku 18 lat w „Don Giovannim” Mozarta. Wtedy też związał się z moźnym protektorem, który opiekował się całą rodziną, z księciem Pawłem Lwowem. Zaczął też występować razem ze swoją siostrą Bronisławą Niżyńską, która była mu przez całe życie bardzo bliska. Gdy poznał słynnego Siergieja Diagilewa, wstąpił do jego zespołu Baletów Rosyjskich, nie rezygnując z Teatru Maryjskiego. Związał się też z Diagilewem na pięć lat. Wyjeżdżał z zespołem, m.in. do Paryża, gdzie odnosił wielkie sukcesy i stał się pupilem publiczności. W 1911 r. został zwolniony z Teatru Maryjskiego po tzw. aferze kostiumowej. Podczas spektaklu „Giselle” artysta wystąpił w samym trykocie, bez krótkich spodenek, co w Paryżu nie wzbudzało takiej sensacji. Od tej pory występował tylko u Diagilewa. W 1912 roku zadebiutował jako choreograf w „Popołudniu fauna” Debussiego. Jego choreografia, jak i kolejny spektakl, w którym wystąpił – „Święto wiosny” Strawińskiego, wywołały oburzenie i to także u paryskiej publiczności. Uważano, że układy taneczne w „Święcie wiosny” były zbyt żywiołowe i pierwotne, a przy tym brutalne.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

W 1913 roku Niżyński wyjechał wraz z zespołem Diagilewa (bez Diagilewa) na tournée do Ameryki Południowej. Ożenił się wtedy z młodziutką węgierską tancerką Romolą de Pulszky. Romola bardzo zabiegała, żeby dostać się do zespołu Diagilewa, a jak poznała Niżyńskiego, za pomocą tłumacza, sama mu się oświadczyła. Wkrótce, w 1914 roku w Budapeszcie urodziła się im córka Kira, późniejsza tancerka. Ślub artysty spowodował

zerwanie związku z Diagilewem.

Wacław Niżyński próbował występować w Londynie z własnym zespołem, jednak nie odniósł sukcesu, gdyż nie miał doświadczenia administracyjnego. Przeniósł się więc wraz z żoną do Budapesztu i zamieszkał z pochodzącymi ze zubożałej arystokracji teściami. Podjął jeszcze raz współpracę z Diagilewem, ale w pracy zaczęła mu przeszkadzać rozwijająca się schizofrenia. Wycofał się z występów i opracowywania nowych układów choreograficznych. Ostatni jego występ publiczny miał miejsce 19 stycznia 1919 roku w małej szwajcarskiej wiosce Saint Moritz. Przez trzydzieści minut stał nieruchomo, twierdząc, że to są jego zaślubiny z Bogiem. Publiczność zrozumiała, że „Bóg tańca” jest chory. Przez sześć tygodni od ostatniego występu Wacław Niżyński pisał „Dziennik”, który miał być rodzajem terapii. Potem poddał się leczeniu w Szwajcarii u doktora Eugena Bleulera. W latach 30. zastosowano nowatorską terapię insulinową, która odniosła tylko chwilowy skutek. Przez trzydzieści lat przebywał w ośrodkach zamkniętych, pod opieką żony, pozostając w swoim wewnętrznym świecie. Zmarł w 1950 roku w Londynie.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

„Dziennik” Wacława Niżyńskiego to zapis strumienia myśli osoby chorej, nie potrafiącej się odnaleźć w społeczeństwie. Czasami wypowiedzi mają sens, czasami toczą się bez ładu i składu. Głównym tematem, powracającym jak bumerang, jest relacja z Bogiem. Niżyński przedstawia się jako wybrańca, który ma spełnić specjalną misję. Szokować czytelnika mogą intymne zwierzenia, opisy spotkań z prostytutkami i wulgaryzmy. Pośród spraw dnia codziennego, pojawiają się refleksje i uczucia. Kolejne fragmenty zaprzeczają sobie. Tematy, które wciąż powracają to Diagilew, żona Romola, córka Kira, zepsucie, lęk,

sytuacja polityczna, giełda.

„Dziennik” Wacława Niżyńskiego został po raz pierwszy opublikowany w 1936 roku, w wersji bardzo okrojonej przez żonę Romolę. Pełna, nieocenzurowana wersja ukazała się dopiero w 1997 roku w Anglii. Opublikowanie tej wersji „Dziennika” wywołało ponowne zainteresowanie postacią słynnego baletmistrza. W 2001 australijski reżyser Paul Cox nakręcił film „Nijinsky”. W Polsce pojawiły się spektakle teatralne oparte o wspomnienia artysty. Oprócz „Niżyńskiego” wystawionego przez Teatr im. St. Jaracza w Łodzi w 2005 roku, Teatr Wierszalin w Supraślu przygotował spektakl „Bóg Niżyński” (prapremiera w 2006 r.), a w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w 2013 roku odbyła się premiera sztuki „Niżyński. Zapiski z otchłani”. Podczas premiery „Święta wiosny” Strawińskiego w Teatrze Wielkim w Warszawie, 11 czerwca 2011 roku, w przerwie przedstawienia, w foyer Teatru Wielkiego w Warszawie została odsłonięta pierwsza w Polsce rzeźba legendarnych polskich tancerzy-choreografów: Wacława Niżyńskiego i jego siostry Bronisławy w rolach Fauna i Nimfy z baletu „Popołudnie fauna”. W 2014 roku nakładem wydawnictwa Marginesy ukazała się biografia legendarnego tancerza i choreografa Wacława Niżyńskiego autorstwa znanej historyk i dziennikarki Lucy Moore „Niżyński. Bóg tańca” w przekładzie Hanny Pawlikowskiej-Gannon.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

„Niżyński” - spektakl według scenariusza Waldemara Zawodnińskiego i Kamila Maćkowiaka, w reżyserii Zawodnińskiego przez osiem lat do 2013 roku grany był w Teatrze im. St. Jaracza w Łodzi. Po odejściu aktora z teatru Jaracza Fundacja Kamila Maćkowiaka odkupiła spektakl. „Niżyński” był potem wystawiany w wielu miejscach m.in. w Warszawie i poza Polską, w Niemczech po angielsku, w Moskwie, w Petersburgu. Wszędzie wzbudzał wielki entuzjazm. Po latach „podróży” monodram powrócił do Łodzi i teraz jest grany na scenie Teatru Nowego im. K. Dejmka.

Kamil Maćkowiak jest aktorem, reżyserem, scenarzystą, tancerzem i choreografem. Ukończył gdańską Szkołę Baletową i łódzką PWSFTviT. Połączenie umiejętności aktorskich i przygotowania z zakresu baletu klasycznego dało fenomenalny rezultat przy spektaklu „Niżyński”. W wywiadzie udzielonym Izabelli Adamczewskiej dla „Gazety Wyborczej” (czerwiec 2016), Maćkowiak wspomina: *Poszedłem na film Paula Coxa, który był inscenizacją dziennika Niżyńskiego. Zetknąłem się z tym nieprawdopodobnym tekstem i zafascynowała mnie wrażliwość tego faceta, jego choroba, to, że ciało stało się dla niego więzieniem. (...). Fascynował mnie ten temat, chciałem go dotknąć. Tekst nawet najlepszego pisarza nigdy nie będzie miał takiej mocy, jak autentyk Niżyńskiego.*



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

Klatka z drążkiem, gra światła, projekcje twarzy Kamila Maćkowiaka w szalonym pędzie, muzyka jak pełne niepokoju bijące serce chorego człowieka, do tego pasja, wizja, artyzm. Aktor ubrany w czarne spodnie i czarną koszulę, nie potrzebuje kostiumu epoki i zbędnych ozdóbników. Wchodzi w relację z postacią, w którą się wciela na tak wysokich rejestrach emocji, że obydwaj, mistrz i aktor, stają się jednością. Niżyński-Maćkowiak snują swoją opowieść ciałem, ciało staje się klatką, ogranicza myśli, powoduje ból istnienia. Ciało, które doprowadzone do doskonałości, dało się plastycznie modelować,

emanowało siłą twórczą, zarażało pierwotną energią, zniewolone chorobą, zaczyna stawać się więzieniem. Mistrz Niżyński szamocze się, prowadzi walkę z własną cielesnością, próbuje wyzwolić się z pętów. W głowie huczy nieokrzesany, niehamowany strumień myśli, narasta niepokój, jak dudniąca kolej po szynach. Artysta robi rachunek sumienia, wspomina ważne postacie ze swojego życia, matkę, siostrę, zmarłego brata, księcia Lwowa i Diagilewa, który powraca jak bumerang. Zazdrość o nowego kochanka „Sierioży”, śmierć Diagilewa w Wenecji, dudni w głowie, wiruje wraz ze skrajnymi emocjami, żalu, rozczarowania, tęsknoty. Żona raz jest nadzieją na stabilizację i spokój duszy, a raz wzbudza lęk, staje się uosobieniem kolejnych więzów życia. Projekcje myśli na temat żony mieszają się z przygodami z prostytutkami. Nowe doznania przenikają się z odrazą do siebie, chęcią ucieczki od swoich myśli. Najbardziej liryczne partie dotyczą córki Kiry, obserwacji jej zachowań, lęku, że jej nigdy nie zobaczy. Nad tym chaosem emocji, namiętności, lęku, geniuszu i cierpienia góruje Bóg. I tak jak Maćkowiak stał się Niżyńskim, tak Niżyński staje się Bogiem. Rozpiera go pycha, ciąży misja, którą ma do spełnienia, unosi się w powietrzu, lewituje ponad światem i swoim życiem, po czym spada w dół, a każdy kolejny upadek jest bardziej bolesny, bo prowadzi do nicości. Niżyński w ostateczności decyduje się na leczenie, zaczyna rozumieć, że jest chory, opadają emocje, następuje rezygnacja, wyciszenie.

Misterium istnienia w obłądzie, na pograniczu geniuszu i choroby psychicznej, w wykonaniu Kamila Maćkowiaka, to mistrzostwo aktorstwa i utożsamienia się z rolą. Spektakl prowokuje do myślenia, rozważenia wielu ważnych momentów w swoim życiu, uruchamia pokłady podświadomości. Nic dziwnego, że monodram zdobył wiele nagród i mimo, że grany był już ponad 200 razy, nie wypalił się, publiczność wciąż tłumnie przybywa na spektakle.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

„Niżyński”, spektakl na podstawie „Dziennika” Wacława

Niżyńskiego w przekładzie Grzegorza Wiśniewskiego; w roli Wacława Niżyńskiego: Kamil Maćkowiak; reżyseria i scenografia: Waldemar Zawodziński; scenariusz: Waldemar Zawodziński i Kamil Maćkowiak; choreografia i opracowanie muzyczne: Kamil Maćkowiak; reżyseria światła: Łukasz Schwiperich; projekcje multimedialne: Arkadiusz Stasiak i Wojciech Burczak; kostiumy: Marta Joanna Bryś; kierownik produkcji: Jarosław Bydny; grafika (2014-2016): Dona Sołtysiak; zdjęcia: Fundacja Kamila Maćkowiaka; prapremiera: Teatr im. St. Jaracza w Łodzi 2005 r.; Teatr Nowy im. K. Dejmka w Łodzi, listopad 2016 r.

Nagrody: w Łodzi (Złota Maska), Kaliszu, Jeleniej Górze, Wrocławiu. W 2007 roku Kamil Maćkowiak dostał za rolę Niżyńskiego główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Monodramów MONOKL w Sankt Petersburgu. W 2008 roku – nagrodę mediów niemieckich na Festiwalu Monodramów w Kilonii – THESPIS Media Award.

Informacje biograficzne na temat Wacława Niżyńskiego na podstawie Wikipedii oraz biografii Lucy Moore „Niżyński. Bóg tańca”.

Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

Barbara Gruszka-Zych

Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.

Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafiał do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytany i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieterią, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:

I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam...

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby – jak nam mówił – nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie pisał morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. – Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą – powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie.

Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* – uczyli się na pamięć moi jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażekowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii – Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znanstwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

O najdroższa! Pod tej fary wieżą,

przy jabłoni siedem kroków w bok,
w szklach rogowych księża nie dostrzegą
jak ust blisko włosów twoich lok
(„O tej łzie co na końcu spadła”).

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

Myślę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia – trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie

był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się – jako swoiste memento – w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* – mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* – ostrzegał.

Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie zakochania, ale troska o drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o kościele” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).

Florian Śmieja.

Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.



Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieja „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, poczynając od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieja miała miejsce w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.

Florian Śmieja

MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela

chodząc ulicą nie budzę sensacji

na fluktuacje światowego rynku

nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam

nieużywane pokłady czułości

czekam na właściwy telefon, na list

wyglądany od dawna, przyjaciela.

Taki to sporządziłem minibiogram

gdyby gdzieś miano wydać autentyczny

informator *Kto jest kim między ludźmi*.

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie

a każda ma odpowiedź zabrzmiał: po co?

chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź

podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka

dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.

Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk

zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu

lecz nie odmówię ciepłego dotyku

dobrego słowa, ufego spojrzenia

drobiny światła przed idącą nocą.

NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy

Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,

bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści

nie przepadnie tęsknota, żal się nie odmieni.

W sobie przecież niesiemy płomień najważniejszy,

którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,

żegnania w południe czy rozłąka północą.

OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt

nie zawsze się załamuje

często pogruchotane stoi dalej

odarte z kory, pozbawione korony

trwa na miejscu uparcie

korzenie nie puszczaają ziemi

pień zanim się w proch rozkruszy

by urzyźnić glebę

nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępą trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni są stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.



Leszek Wyczółkowski, Golden
Moments, grafika.

DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale

próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał

deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne

śledziły go oczy, bo osób

dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,
że można znaleźć człowieka.

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny
komfort dystansu, który izolował
a patrząc z dala nie dostrzegał trywiiów
ani nikczemnych ciosów niżej pasa.
Mógł się zajmować szerszą perspektywą
ogólną panoramą, widokami z góry.
Technologia nam zniosła przestrzeń
i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite

ruszenie od zadymy? Emisariusze

wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk

wieźć swoją bibułę. Za późno

coś robić na pochwałę grodu,

sprywatyzowany ma różnych kasztelanów

którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

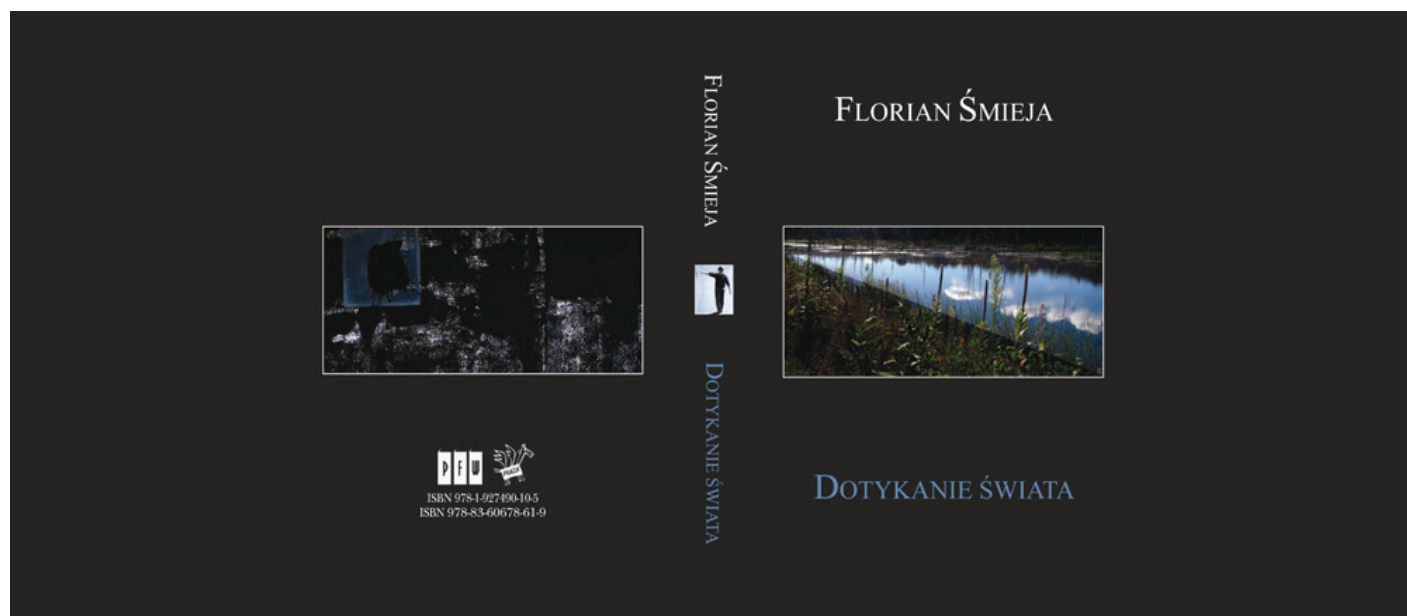
MARNOŚĆ

Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,
który wiatr rozwieje, to co są warte
konfabulacje otwartego człowieka
chcącego pojąć zawilności świata
a mężnie zachować się wobec bytu?
Czy na darmo trzodzi się kontemplacją
I w samotności przpędza swój żywot?
Marność nad marnościami ostrzegało
Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.
Pozostawiając nam wszystkim nadzieję
mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu
wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez
mierzenia sił na zamiary. To raczej
zrządzenie losu, co bosego malca
ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł
w labirynty niespodziewane, potem
bezpiecznie przez zawieruchy prowadził
po złudne laury i honory świata,
o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

*Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w
Kanadzie, Toronto-Rzeszów 2016 r.*



Władysław Teodor Benda – artysta, którego pokochała

Ameryka

Rozmowa z Anną Rudek-Śmiechowską, autorką pionierskiej książki o Władysławie Teodorze Bendzie, bratanku Heleny Modrzejewskiej, wybitnym ilustratorze, twórcy amerykańskich masek.

✖ **Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Co zafascynowało Panią we Władysławie Teodorze Bendzie, że zdecydowała się Pani zająć tą postacią?

Anna Rudek-Śmiechowska: Odpowiadając na to pytanie, muszę cofnąć się do czasu studiów, które odbywałam w pięknym Lublinie. Studiowałam historię sztuki. Szukając tematu na seminarium magisterskie postanowiłam sięgnąć po dzieje polskiej emigracji artystycznej w Stanach Zjednoczonych. Wybór kontynentu i tematu był niejako oczywisty.

Ze względów rodzinnych bywałam za Oceanem wielokrotnie, głównie w Nowym Jorku. Miasto, ludzie, kultura, historia – niesamowicie mnie fascynowały. Poznałam tamtejsze środowisko artystów i kolekcjonerów, tak polskich, jak i amerykańskich. Oglądałam dzieła sztuki, słuchałam ciekawych opowieści, obcowałam z wydarzeniami i śladami historii. Wiedziałam, że

kultura i sztuka tworzona przez Polaków w Ameryce jest ciekawa i znacząca, niemniej niezbyt dobrze opracowana przez historyków sztuki. Wśród artystów działających w Stanach Zjednoczonych istnieją ci wybitni, którzy zostali zauważeni i docenieni, ale i ci, którym los nie rozdał dobrych kart. Wielu z nich zasługuje jednak na uwagę i rzetelne studia.

Najpierw zdecydowałam się na opracowanie dziejów PAAS, czyli Polish American Artist Society. Było to stowarzyszenie, które działało w Nowym Jorku w latach 1985-1991. Niezwykłe postaci, ciekawe założenie, ambitne plany, niestety nieco smutne zakończenie. Obecnie pracuję nad książką poświęconą temu zjawisku, więc nie będę zdradzać wszystkich szczegółów. O PAAS powstała moja praca magisterska. Rozprawę napisałam pod opieką prof. Jana Wiktora Sienkiewicza, który zajmuje się polską emigracją artystyczną (poświęcił wiele swoich studiów naukowych emigracji polskiej w Anglii). Po obronie profesor zasugerował, abym zastanowiła się nad doktoratem i poszukała odpowiedniego tematu.

Kilka miesięcy później, będąc z wizytą w Nowym Jorku, namówiona przez ojca, poszłam na wystawę do Fundacji Kościuszkowskiej, w której pokazywano urywek dokonań W. T. Bendy. Po obejrzeniu jego prac zaczęłam szukać książek, opracowań i... nie znalazłam nic. Kilka informacji, kilka artykułów. Wtedy postanowiłam zająć się postacią W. T. Bendy i

przywrócić pamięć o nim.

JSG: Benda uczył się w Krakowie i w Wiedniu. Był malarzem, rzeźbiarzem, ilustratorem. Czy długą drogę musiał przejść, zanim w Ameryce doceniono jego europejskie wykształcenie i talent?



W. T. Benda, [Mężczyzna z fajką],
rysunek, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.

ARŚ: Do wymienionych miejsc nauki należy dodać również Amerykę, gdzie W.T. Benda podjął edukację artystyczną w trzech

placówkach. Pierwszą z nich był kalifornijski Mark Hopkins Institute of Art, potem już znaczące nowojorskie placówki, czyli Chase Art School (założona przez samego Williama Merritta Chase'a) i Art Students League. O Chase Art School warto wspomnieć kilka zdań, gdyż tam W.T. Benda uczęszczał na nauki do jednego z najpopularniejszych artystów amerykańskiej awangardy, a mianowicie do klasy prowadzonej przez Roberta Henriego, twórcy tzw. The Ashcan School – Szkoły Śmieciarzy. Wśród kolegów szkolnych byli: George Bellows, Rockwell Kent, John French Sloan, Walter Pach, Walter Biggs, Walter E. Tittle. W.T. Benda wspominał, że „była to niezwykła klasa”, co nie ulega wątpliwości, zważając choćby na postać nauczyciela, który był wielbionym przez studentów mistrzem.

Zaczynając jednak od początku, to W.T. Benda zaczynał edukację artystyczną w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych (dzisiejsza Akademia), ale trwało to zaledwie dwa semestry. Zachowały się jego świadectwa, w których dobrą opinię o uczniu wydaje m.in. Władysław Łuszczkiewicz. Wydaje mi się jednak, że dużo więcej zyskał na naukach w Wiedniu, w prywatnej szkole sztuk pięknych Heinricha Strehblowa, gdzie zdobył umiejętność posługiwania się techniką rysunku węgłem – tak podziwianą i zaskakującą w jego późniejszej karierze.

Na nowym kontynencie artysta dosyć szybko znalazł zlecenia i pracę. Jego podpisy jako ilustratora znalazłam już w rysunkach z

1904 roku, a więc niecałe pięć lat po przyjeździe do Ameryki. Myślę, że znaczącą rolę w tej kwestii odegrała ciotka Helena Modrzejewska i przetarte przez nią szlaki. Tak więc nie wydaje mi się, aby jego amerykańska droga była specjalnie trudna, jeśli chodzi o początki. Niemniej wymagała od niego rzetelności, pracowitości, kontaktów z Amerykanami (a więc i nauki języka), ponadto nieustannego doskonalenia umiejętności, wiary we własny talent. Myślę, że W.T. Benda należy do tych artystów, którzy choć urodzeni w Polsce, to należą do Ameryki, która ich pokochała i niejako adoptowała.

JSG: W.T. Benda syn muzyka Szymona Bendy – przyrodniego brata wielkiej aktorki Heleny Modrzejewskiej, przyjechał do Stanów Zjednoczonych wraz z rodzicami i siostrami na zaproszenie ciotki w 1889 roku. Pierwsze zlecenie pochodziło od Heleny Modrzejewskiej, która poprosiła go o zaprojektowanie scenografii i kostiumów do „Antoniusza i Kleopatry”. Jak potem potoczyła się samodzielna kariera artysty?

ARŚ: Pierwszym przystankiem na nowym kontynencie była siedziba Modrzejewskiej w Arden. Stamtąd W.T. Benda przeniósł się do Los Angeles, potem do San Francisco i w końcu do Nowego Jorku. O tym, że ciotka pomagała bratankowi na początku amerykańskiej wędrówki, świadczy kilka faktów. W Muzeum Narodowym w Poznaniu znajdują się rysunki sygnowane przez W.T. Bendę (datowane na 1899 rok), które

przedstawiają kostiumy kobiece do sztuk teatralnych i były przygotowywane dla Heleny Modrzejewskiej. W jednym z listów Heleny Modrzejewskiej do męża Karola Chłapowskiego znalazłam informację, że Władzio (jak nazywała go ciotka) założył „atelier” czyli studio rysunku w Los Angeles i ciotka mu w tym pomagała. Niemniej artysta nie był zależny od Modrzejewskiej, szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości i zyskał uznanie.

Przede wszystkim ilustrował książki, gazety, magazyny. Był bardzo znanym i często zatrudnianym ilustratorem. W 1913 roku w wywiadzie dla „Metropolitan” przyznawał, że jest to jego „główne zajęcie”. Badając życie i twórczość artysty udało się ustalić, że jego prace ukazały się w ponad dwudziestu tytułach prasowych (w latach 1903-1943), ponadto rysunki zdobiły liczne książki, plakaty, ulotki, manifesty. Tworzył dla gigantów, ale i małych gazetek drukowanych na bardzo kiepskim jakościowo papierze. Wśród tytułów wymienić należy choćby: „Hearst’s International”, „Cosmopolitan”, „Life”, „Scribner’s”, „McClure’s”. Tworzył też niezwykle maski, które przyczyniły się do rozwoju jego kariery, a w czasie wielkiego kryzysu stały się jednym ze sposobów na utrzymanie.



W. T. Benda, niezidentyfikowana maska, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.



W. T. Benda, Maska Golden Goddess, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.



W. T. Benda, Maska The Old Wag, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska The Miser, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

JSG: Maski – to była wyjątkowa dziedzina twórczości Benda. Zaczęło się od tego, że znajomi zaprosili go na bal maskowy, podczas którego założona przez niego maska wzbudziła niemały zachwyt. Poświęca Pani dużo miejsca w swojej książce maskom, uznając je za odrębną gałąź sztuki. Na czym polegał fenomen masek W.T. Benda?

ARŚ: W. T. Benda był nie tylko jednym z filarów ilustracji amerykańskiej, ale i „ojcem amerykańskich masek”. Sam nazywał je swoimi „papierowymi dziećmi”. Dlatego też w książce, która z założenia jest monografią życia i twórczości

artysty, poświęcam maskom tyle miejsca, ile ilustracjom. W pewnym momencie zupełnie przypadkiem, W. T. Benda zaczął tworzyć maski, szybko jednak stał się wielkim znawcą tematu, wybitnym ekspertem.

Jego prace wykorzystywał sam J.M. Anderson w swoich nowojorskich rewiach, zdobyły one niejedną okładkę czasopism (nie tylko dotyczącą teatru), były też np. rekwizytami fotograficznej sesji mody tworzonej dla magazynu „Vogue”, pojawiały się w filmach, telewizji, ale i powieściach czy nowelkach (jako określenie tajemniczego wyrazu twarzy). W.T. Benda do dziś uważany jest za eksperta w tej dziedzinie, a nazwisko jego wymienia się w opracowaniach o maskach, pantomimie, czy rewiach.

Znaczenie, ale i niespotykaną dotychczas wagę działania W.T. Benda w świecie masek świetnie zilustrował słowami przyjaciela twórcy, a naczelny magazynu „Vanity Fair” – Frank Crowninshield, który napisał: „Benda dokonał tego, co mógł zrobić tylko prawdziwy artysta. Ożywiając starą sztukę, wymyślił nową”. Maski W.T. Benda były w Ameryce (ale i na świecie) czymś nowym, a raczej nowatorskim w stylu. Odniosły wielki sukces ze względu na popularność teatru i rewii w tamtym czasie.

W historii sztuki bezsprzecznie należy je uznać za unikat i

fenomen swoich czasów. Choć powstały przypadkiem, jako atrybut na bal maskowy, to w ciągu wielu lat pracy nad nimi oraz dzięki popularności jaką zyskały na scenach (nieomal całego świata) „fałszywe twarze” W.T. Bandy stały się jedną z piękniejszych gałęzi sztuki. Oparte na tradycji japońskich masek „No”, teatralnych maskach greckich i rzymskich, maskach pośmiertnych, tradycyjnych maskach rytualnych z Afryki czy Ameryki, były zupełnie inne, nowe i dotychczas niespotykane. Miały wielką siłę oddziaływania, ale i tak charakterystyczną dla W.T. Bandy delikatność, tajemniczość i romantyzm.

JSG: Czy artysta stosował specjalne techniki wytwarzania masek?



W. T. Benda ze swoimi maskami,
fotografia (1920), zbiory
prywatne, fot. ARS.

ARS: Wszystkie maski tworzył wg własnych, autorskich technik. Pracował nad sposobem ich powstawania, doborem odpowiednich materiałów, ale i warsztatem, dwadzieścia lat. Stworzenie jednej maski wymagało od niego kilku miesięcy pracy. Zaczynał od studiów natury, potem robił szkice, dalej już rysunki i projekty, konstruował korpusy (m.in. z drutów, z

tektury), dalej nakładał na nie skrawki papieru i odpowiednio malował, impregnował. Maski służyły głównie teatrowi, tak więc wymagały odpowiedniego zabezpieczenia od potu tancerek, czy częstego dotykania. Tutaj najlepszym sposobem, jaki znalazł W.T. Benda, było pokrywanie warstwami złota. Podczas złocenia, którego dokonywał w swoim studio, wyganiał z pomieszczenia żonę, córki i kota, ponieważ każdy nawet najmniejszy podmuch mógł zniszczyć ten cenny materiał.

Całą swoją wiedzę o maskach (ich historii i sposobie tworzenia) zamknął w autorskiej książce „Masks”, gdzie opisał wszystkie działania z charakterystyczną rzetelnością (książkę można czasem znaleźć i kupić przez internet). Z tego co udało mi się ustalić nie miał następców, uczniów. Było kilku naśladowców (wśród nich tancerka Margaret Severn), ale żadnemu nie udało się stworzyć tak pięknych i doskonałych masek jak W.T. Bendzie.

Maska aktorki Katharine Hepburn, była jedną z nielicznych masek-portretów. W. T. Benda tworzył głównie maski nie będące realnymi postaciami. Interesowały go raczej zbiory cech, typów ludzkich lub przedstawienia mogące obrazować jakieś wydarzenia, tańce czy opowieści. Tworzył fantazyjne demony, twarze ilustrujące stereotypy lub będące wyobrażeniem jakichś cech, rodzajów ludzkich, typów np. delikatne kobiety, gentlemanów czy mężczyzn z podkreślonymi cechami przynależnymi ich stanowi np. „Wojewoda” o wielkich

sumiastych wąsach.

JSG: Wiele znanych magazynów, wykorzystywało na okładkach ilustracje autorstwa W. T. Benda. Były to głównie wizerunki kobiet. Czy to właśnie maski oraz okładki top magazynów tak go rozśławiły w Ameryce?

ARŚ: W.T. Benda przede wszystkim był znanym ilustratorem, a uznanym twórcą masek teatralnych stał się dopiero po 1914 roku. Niemniej te dwie różne dziedziny determinowały osiągnięcia artysty. Dodatkowo W.T. Benda był projektantem, scenografem, aktorem, pisarzem, ale i malarzem. Uznanie jakim się cieszył miało związek oczywiście z jego talentem i umiejętnościami technicznymi, ale wiązało się również z tym, że pracował właśnie w Stanach Zjednoczonych i to w okresie tzw. „Złotej Ery Ilustracji Amerykańskiej” i wielkiej popularności rewii.

Wpisał się doskonale w zawód ilustratora. Miał wyczucie do tematów, stylu i estetyki, która wówczas obowiązywała- stąd tak często występujące w jego twórczości czy na okładkach portrety kobiet. Miał również odpowiedni charakter. Współpracował np. z magazynem „McClures”, w redakcji którego nazywany był „czarnym koniem”. Określenie to oznaczało, że można było na nim polegać zlecając mu zadania nawet z dnia na dzień. Wykonywał je rzetelnie, zawsze o czasie, z wielką pasją i

profesjonalizmem. Jak chodzi o rewie dużo dało mu to, z jakiej pochodził rodziny (ojciec był muzykiem), ale i to, że miał niezwykle wyczucie i dar oddawania kobiecego piękna, a także to, że stworzył niespotykane dotychczas maski o specyficznym wyrazie.

JSG: Portrety kobiet, które tworzył Benda znacznie różniły się od wystylizowanego, słodkiego wizerunku, który był wcześniej rozpowszechniony. Artysta zdobył uznanie jako znawca kobiet, czego wyrazem było zaproszenie, do komisji jurorów w wyborach Miss America. Co takiego nowego było w wizerunkach kobiet stworzonych przez Bendę?

ARŚ: Wydaje mi się, że rola jurora w konkursach Miss America była raczej związana ze znajomościami artysty i jego pozycją w towarzystwie. Dzięki pracy jaką wykonywał znał wiele ważnych osobistości, wśród których wymienić można choćby: potentata prasowego Williama Hearsta, redaktora naczelnego „Vanity Fair” Franka Crowninshilda, reżysera rewii J.M. Andersona. Bywali u niego sam I.J. Paderewski czy Władysław Reymont, spotykał się z innymi ilustratorami w tym z Ch. D. Gibsonem. Może dlatego został zaangażowany jako członek jury?!



W. T. Benda, Zobeida from Syria,
reprodukcja ilustracji, zbiory
prywatne, fot. ARS.

Portrety kobiet zaś, to nawiązanie do trendu w sztuce amerykańskiej, a także wymogów rynku ilustracji i magazynów. Portrety były domeną sztuki amerykańskiej oraz obowiązującym

tematem okładek, reklam. „Kobiety Bendy” cechował charakter jego kreski. Każdy ilustrator, zwłaszcza ten już uznany i popularny (czyli często angażowany do pracy) posiada swój specyficzny sposób rysowania, dosyć łatwy do rozpoznania. Analizując postaci kobiet sygnowane ręką W.T. Bendy uważa się, że były bardziej ludzkie, naturalne, ale i tajemnicze, pełne subtelności, kobiecego wdzięku. W wielu przypadkach W. T. Benda ilustrował postaci emigrantek, nieco innych od wizerunków białych Amerykanek, które tworzył choćby król ilustratorów słynny Charles Dana Gibson. Na wiele ilustracji W.T. Bendy trzeba patrzeć przez pryzmat obowiązującej mody i estetyki kraju, w którym powstały, choć nie determinuje to oczywiście oceny i możliwości podziwiania jego prac przez „zwykłych śmiertelników”.

Jedną z moich ulubionych ilustracji stworzonych przez W. T. Bendę jest portret syryjskiej kobiety o imieniu Zobieda, narysowany dla „The Century Magazine” w 1913 roku. Dziewczyna siedzi podparta, kieruje swój wzrok prosto na widza. Jej głowę oplata turban, rękę zdobi bransoletka. Twarz nie jest posągowa, okładkowa, jest zwyczajna, a zarazem mistyczna, ciekawa, wzbudzająca emocje, wywołująca huragan myśli. Wydaje mi się nieraz, jakby coś chciała do mnie powiedzieć. Jakby miała zamiar mnie zaczepić, a ja przegapiłam właśnie ten moment. Praca jest równie subtelna w detalach, jak i samej kresce. Lubię na nią patrzeć, bo wydaje mi się, że stanowi

syntezę możliwości W. T. Bendy i świadectwo jego talentu oraz pewnej magii – przynależnej każdemu wybitnemu artyście – którą roztaczał tworząc swoje dzieła. Nie jest to jego najlepsza ilustracja, ale jest ciekawa, zaczepna.

Lubię też portrety w stylu art deco, w tym okładka magazynu „Life” z lutego 1923 roku, czy „Saturday Evening Post” z maja 1934 roku. Charakteryzujący je odpowiedni dobór kolorów, subtelność portretowanych twarzy, delikatność kreski, wysmakowana estetyka.

JSG: Dlaczego prace węglem wykonywane przez W.T. Bendę były powodem zdziwienia?

ARŚ: Leicester B. Holland będący szefem Division of Fine Arts Biblioteki Kongresu pisał w 1933 roku, w jednym z listów do W.T. Bendy: „Pana prace dotarły do mnie jakiś czas temu i wreszcie miałem szanse przyjrzeć się im dokładnie. (...) Co ciekawe, nadal zaskakuje mnie, że wykonane zostały węglem. Włada pan tym narzędziem w tak malarski sposób, że nieświadomie myślę o nich jako o wykonanych pędzlem – widok oryginałów tego nie zmienił. Dobrze wiem, że wykonane zostały węglem, jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że są namalowane” – i nie był w tej opinii osamotniony.

Przyznać trzeba, że W.T. Benda był mistrzem rysunku węglem.

Jego prace wykonane tą techniką są niesamowite. Mistrzowski sposób kładzenia kreski, światłocien, zakłęty ruch i wydobywana głębia – wszystko to tworzy doskonałe rysunki, dzieła które w odpowiedni sposób wydobywają konkretną treść. W Ameryce była to technika niecodzienna, ponadto dosyć trudna w utrzymaniu, konserwacji.

Niemniej W.T. Benda posługiwał się też ołówkiem, gwaszem, piórkiem, ale i pastelami, akwarelą, był też malarzem, rzeźbiarzem i projektantem – i w tych pracach wykorzystywał przynależne im techniki.

JSG: W.T. Benda brał czynny udział w akcji Ignacego Jana Paderewskiego, zachęcającej do wstępowania w szeregi armii. Wśród plakatów informacyjnych jest wiele jego autorstwa. Jakże poza tym były związki artysty z Polską?



W. T. Benda, [Dziewczyna w zielonej chuście], rysunek, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

ARŚ: W.T. Benda urodził się w Polsce, w Poznaniu. Spędził w nadwiślańskim kraju prawie 25 lat. Ponadto był bratankiem Heleny Modrzejewskiej, a ona mimo pozycji i szczęścia jakie zdobyła w Ameryce, często w Polsce bywała oraz działała na rzecz ojczyzny. Podobnie było w przypadku W.T. Benda. Wracał kilka razy do Polski z wizytami – bywał w Zakopanem (te wizyty zapisały się w pamięci jego córki Eleonory, ale i w opublikowanych autorskich opowiadaniach artysty), był na pogrzebie ciotki Modrzejewskiej w Krakowie. W Nowym Jorku

W.T. Benda przyjmował polskich gości m.in. Władysława Reymonta, Zdzisława Dębickiego z „Tygodnika Ilustrowanego”. Z I.J. Paderewskim współpracował na rzecz Polski tworząc liczne plakaty rekrutacyjne oraz skierowane do społeczeństwa w celu zapewnienia pomocy ofiarom I i II wojny. Miał związki z Fundacją Kościuszkowską itd.

Podsumowując jego bezpośrednie związki z Polską trzeba powiedzieć, że były to tylko krótkie odwiedziny. Polska stała się dla niego wyłącznie krajem przodków, krajem pochodzenia. Podkreślam jednak, że nigdy nie odcinał się od Polski, zawsze wspominał, że jest Polakiem. Uważał ją za swoją ojczyznę, podtrzymywał kontakty z Polakami, bywał w kraju, ale co ważniejsze korzystał z polskich motywów, symbolii pewnych cech, które objawiają się w jego pracach poprzez umiejętność oddania romantycznej atmosfery, emocji, pewnej tajemniczości. Niemniej nie wydaje mi się, aby był z Polską jakoś bardzo związany i tęsknił za krajem dzieciństwa. Pochłonęła go Ameryka, zawładnął nim Nowy Jork. W. T. Benda stał się jedną z bardziej lśniących gwiazd zamieszkującej go ławicy. W tym kontekście podobny był do swojego kuzyna, konstruktora mostów, Rudolfa Modrzejewskiego (Ralph Modjeski), syna Heleny Modrzejewskiej.

JSG: Pani praca jest pionierska, nie było wcześniej tak dogłębnego opracowania życia i twórczości tego niezwykłego

artysty. Zebrała Pani ogromny materiał, zarówno w Polsce, jak i w Ameryce. Jak długo trwało poszukiwanie materiałów?

ARŚ: Kiedy zainteresowałam się postacią W.T. Bendi okazało się, że artysta nie doczekał się monografii, czy choćby szerszych studiów. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie. Na jego temat powstało kilka (dosłownie) artykułów i wzmianek biograficznych. Pierwsze prace zaczęłam już w 2008 roku, przygotowałam tzw. stan badań, gdzie zebrałam istniejące artykuły m.in. dr Marioli Szydłowskiej i dr Marka Pohlada. Potem starałam się o stypendium Fundacji Kościuszkowskiej na badania. Grant otrzymałam w 2009 roku, dzięki czemu mogłam spędzić trzy miesiące w Stanach Zjednoczonych poszukując śladów artysty.

Opracowywanie zebranych materiałów zabrało mi pięć lat. Wtedy skończyłam doktorat, którego tematem był właśnie W.T. Benda, a która to praca powstała pod opieką prof. dr hab. Andrzeja K. Olszewskiego. Pracę obroniłam na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w 2014 roku, a niecałe dwa lata później wydałam książkę – pierwszą w historii monografię życia i twórczości W.T. Bendi. Jeśli liczyć wszystko razem – od przekroczenia progu Fundacji Kościuszkowskiej w celu zobaczenia wystawy, po otrzymanie autorskiej książki do rąk własnych – praca zajęła mi prawie 9 lat.

JSG: Pisze Pani, że nawiązała kontakt z rodziną artysty. Proszę o

tym opowiedzieć?

ARŚ: O rodzinie artysty wiedziałam z tekstu Marioli Szydłowskiej, która opisała W.T. Bendę w swojej książce poświęconej artystom urodzonym w Polsce, a działającym w Ameryce w teatrach i biznesie filmowym (M. Szydłowska, Między Broadwayem a Hollywood. Szkice o artystach z Polski w Stanach Zjednoczonych, 2009). Ona poinformowała mnie o miejscu ich zamieszkania. Kiedy zdecydowałam się napisać doktorat o W.T. Bendzie i pozyskać na to grant z Fundacji Kościuszkowskiej nawiązałam z nimi kontakt e-mailowy, dokładnie z wnuczką artysty Ann Taylor. Bardzo przychylnie zareagowała ona na moje listy i zaoferowała pomoc.

Po przyjeździe do Nowego Jorku skontaktowałam się z nią telefonicznie i zostałam zaproszona do nich na Święto Dziękczynienia. Podczas tego spotkania poznałam córkę artysty Eleonor Benda Bostelmann Shimmler oraz prawnuki (synów Ann Taylor). Potem jeszcze kilka razy gościłam u nich oglądając prace Bendi i fotografując prawie wszystkie materiały jakie udało im się wyciągnąć z licznych pudełek, słuchałam opowieści i informacji jakie posiadają. Byłam też w domu Eleonor, gdzie mogłam podziwiać prace jej ojca i zamienić z jego córką kilka znaczących słów, a także usłyszeć wspomnienia o człowieku, którego tak bardzo, bardzo kochała. Eleonor nie doczekała już publikacji o ojcu, zmarła w 2014 roku.



W.T. Benda, Kobieta z maską, okładka Life Magazine, 1922 r.

JSG: Czy rodzina WT Benda ma świadomość polskich korzeni, zna polską historię i postać Heleny Modrzejewskiej?

ARŚ: Rodzina bardzo ceni sobie i dba o twórczość artysty. To niezwykle mili i otwarci ludzie. Po wielu latach pracy nad

książką, kiedy otrzymali ode mnie egzemplarz, niezmiernie się ucieszyli. Ann Taylor napisała do mnie wówczas: „Dziękuję Ci bardzo za poświęcenie czasu na poznanie mojego dziadka. Moja mama byłaby bardzo zadowolona, że zachwyciłaś się jej ukochanym tatą”.

Zarówno wnuczka, jak i jej synowie, a więc prawnuki W.T. Benda znają postać dziadka, wiedzą, że był Polakiem, że jego ciotką była sławną Heleną Modrzejewską. Jeden z nich – Thatcher – studiował nawet teatrologię i zorganizował pradziadkowi kilka wystaw. Niemniej rodzina W.T. Benda to Amerykanie, którzy nie byli w Polsce i nie czują już mocnego związku z krajem swoich przodków. Szanują W.T. Benda i szczerzą się nim, ale bez podkreślania jego polskości. Dla nich to nieznany świat.

JSG: Na czym polega niezwykłość W.T. Benda?

ARŚ: W.T. Benda był dobrym artystą, z wielką wyobraźnią, świetnym warsztatem i udanym życiem rodzinnym, towarzyskim i zawodowym. Raczej nie mówiłabym o niezwykłości, bo można mówić, że był niezwykły, gdyż jako artysta miał tylko jedną ukochaną żonę..., a może ze względu na to, że szybko zasymilował się z amerykańskim społeczeństwem i znalazł w nowym kraju własną ścieżkę artystyczną..., a może był niezwykły z powodu swojego poczucia humoru, czy też z powodu tworzenia niezwykle realistycznych masek. Powiedziałabym raczej, że był

dobrym i uznanym artystą ilustratorem i twórcą masek teatralnych, z którego możemy być dumni jako Polacy.

JSG: W.T. Benda zmarł na zawał w 1948 roku przed wystąpieniem na temat masek, które miał wygłosić w Newark Public School of Fine and Industrial Art w New Jersey, gdzie pracował jako nauczyciel rysunku. Czy w Ameryce się o nim pamięta?

ARŚ: W.T. Benda był artystą plastykiem, uprawiającym dwie niszowe dziedziny sztuki (dziedziny, czasem nawet nie zaliczane do sztuk pięknych). Nie można więc mówić o jego wielkiej popularności. W.T. Benda był znany i popularny w latach, w których tworzył. Wielki kryzys, pojawienie się fotografii, zmiany jakie przyniosły wojna światowa, w tym pojawienie się w Ameryce przedstawicieli europejskiej awangardy (kubistów, ekspresjonistów itp.) a więc zmiana estetyki i stylu w sztuce, spowodowały, że postać artysty została schowana do głębokiej szuflady.

Jego popularność liczyć powinniśmy sukcesami i liczbą okładek jakie zilustrował w czasach największej świetności prasy (jego prace znalazły się w ponad 20 tytułach) oraz tym, jakie ceny dzisiaj osiągają jego nielicznie pojawiające się prace. Ceni się go w kręgach znawców ilustracji i środowiskach teatralnych. W tym kontekście bezsprzecznie można mówić o jego popularności i o

tym, że jest doceniany jako artysta i to doceniany w wielkiej i niedoścignionej Ameryce.

Anna Rudek-Śmiechowska, Władysław Teodor Benda, wyd. Universitas, Kraków 2016.

Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św.

Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojaczek zmarł tragicznie 11 maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojacek napisze:

...Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadi się smętne kwiatki na schludnej grządce...

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojacek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie osoby: przedstawianego in actu Sobeckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panińskim matki, Wojacek się nieraz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojacek, który działał, druga – rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy...” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał

utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcję, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i prośb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwreżeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim, powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych

wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszczyk odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że zebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy

zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ujawnszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczę sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebna manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[...] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego,

kamieniami tłukąc szyby w oknach...więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wyrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu....

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napełniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojacek się spowiada:

...Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy - 10 września (1964) - wziąłem żyłkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym... Buduję więc na nowo gmach złudzeń - ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

To jest okropny stan – świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyletkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy – trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojacek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

czasu

Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną

I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość

Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną

Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią

Studentkę filologii albo medycyny

Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą

–

Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie'

Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś
jest!



Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów

zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

Rok łagodnego światła

Wzrok zdolny cieszyć się

Słuch cierpliwy i chłonny

Głos jedyne Boga

Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

Śmiech niehisteryczny

Smak subtelny

...

Mróz nieuciążliwy

Piec ciepły

Łyk dobrej wódki

Woń róży

...

Cel wytyczony

śmierć pobożna

Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześniej wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u

niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojacek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatrącenie tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebłyśki rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się ratować. W liście do Stefanii Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie,

splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

Zjechałem tu nie w porę
sezon jeszcze nie otwarty
a już miejscowi mówią
że tu się nic nie stanie.

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
Wież ponad dobrem złem i społeczeństwem

Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?

Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych”; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną”. Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością”. Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i

Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająca dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sędzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobilitowaniu chuligańskiej hysterii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje

ręce:

Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłąd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez zmuszoną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statua komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuszczał ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojacek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania,

ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otruił się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga”, znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

Młodości próżniaczej
w jarzmo nikt nie chwycił,
przez łatwość wybaczeń
zmarnowałem życie.

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

Z Dzikowa

do Montrealu.

Powojenne losy rodu

Tarnowskich.



Marcin hr Tarnowski, Montreal 2008 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Marcin Tarnowski

Urodziłem się w Dzikowie w 1935 roku. W 1939 roku wyjechaliśmy na parę tygodni do Klemensowa, do Zamoyskich – rodziny mojej matki. Gdy zaczęła się wojna, przypadkiem okazało się, że jeden z wysokich rangą generałów niemieckich w Zamościu, dobrze znał rodzinę mojego dziadka. Dał nam więc autobus z eskortą i zostaliśmy ewakuowani do Dzikowa. Dostaliśmy do użytku niewielką część zamku, resztę zajęli Niemcy. W Dzikowie mieszkaliśmy do 1944 roku. Koniec wojny przeżyliśmy w Ojcowie pod Krakowem.

Gdy skończyła się wojna wszędzie panował bałagan, nie wiadomo było gdzie szukać rodziny, nie znaliśmy ich losów. Nie wiedzieliśmy, że nasz ojciec w międzyczasie przeszedł na piechotę prawie pół Niemiec, bo gdy front się przesuwał, przerzucano jeńców z obozu do obozu, coraz bardziej na zachód. Ale po wstąpieniu do I dywizji pancerniej gen. Maczka, zaczął nas szukać. Przypuszczaliśmy, że ojciec będzie nas szukał w okolicach Dzikowa. Z Ojcowy więc na jesieni 1945 roku przenieśliśmy się do Sandomierza. Nie mogliśmy wrócić do Dzikowa, nie było nam wolno. Mieszkaliśmy więc w jakimś domu w Sandomierzu, gdzie dokładnie, nie pamiętam, ale wiem, że budynek przylegał do kościoła św. Jakuba. Suterrenami można było przejść do zakrystii. Z naszego domu widać było w dole Wisłę, hen daleko, daleko. Wyobrażaliśmy sobie, że widzimy

Dzików, bo pamiętaliśmy, jak w odwrotną stronę z zamkowej wieży widać było Sandomierz. W Sandomierzu zaczęliśmy chodzić do szkoły. Co jakiś czas chłopci po kryjomu podrzucali nam prowiant z majątku.

Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że ojciec nie wraca do Polski. Przenieśliśmy się więc do Krakowa, a stamtąd matka próbowała na wszelkie sposoby zorganizować nam wyjazd. Wreszcie złapała „zielony transport”. Ja wówczas zachorowałem na odrę, musieliśmy się więc podzielić. Najpierw pojechało starsze rodzeństwo, Maria i Jan (w marcu 1946 r.), a potem mama ze mną i młodszym bratem – Pawłem (w maju). Z Krakowa dostaliśmy się przez Cieszyn i Pragę do Norymbergi. Tam przyjechał po nas kolega ojca i zabrał do Meppen. Mieszkaliśmy razem parę miesięcy, a potem na 5 lat przenieśliśmy się do Brukseli.

Znów chodziliśmy do szkoły, ale mnie coś nie szło z językiem flamandzkim, wciąż oblewałem i musiałem być przenoszony. W Belgii mój ojciec miał dużo znajomych, kończył Uniwersytet pod Brukselą, wydawało się więc, że będziemy mogli tam sobie ułożyć życie. Ale w tych czasach na przełomie lat 40. i 50. w Europie Zachodniej bardzo trudno było o pracę, a szczególnie dla młodych przyszłość nie rysowała się optymistycznie. Dlatego ojciec z matką zdecydowali, że lepiej się przenieść tam, gdzie młodzi będą mieli jakieś perspektywy. Wybrali Kanadę, bo tam

łatwiej można było dostać wizę.

Podróż odbywała się małymi statkami, które przewoziły dawniej wojsko, a teraz zostały przystosowane do przewozu emigrantów. Podróż trzeba było odpracować, pamiętam, że my pracowaliśmy w kuchni. Wylądowaliśmy w Halifaxie w Nowej Szkocji. Mieliśmy dalej jechać na zachód Kanady pracować na farmie (ojciec przez jakiś czas pracował na farmie i zbierał kartofle). Ale w końcu zatrzymaliśmy się w Montrealu. Rodzice mieli tu znajomych i krewnych, łatwiej było więc jakoś się zaczepić i zacząć życie w nowym miejscu. Był tu krewny Władzio Tyszkiewicz, u którego zatrzymaliśmy się na parę dni, potem była P. Maria Pinińska oraz P. Dresher, którzy bardzo pomagali ojcu.



Dwóch braci, Jan A. (z lewej) i Paweł (z prawej)
Tarnowscy na tle kominka w Wielkiej Sali zamku z
obrazem Dziadka Zdzisława hr. Tarnowskiego

wiszący nad nimi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Znów zaczęliśmy chodzić do szkoły. Ja i mój młodszy brat Paweł poszliśmy od razu do college'u. Starsze rodzeństwo musiało pójść do pracy. Rodzice natomiast pracy nie mogli znaleźć. Gdy ojciec powiedział, że ma dwa dyplomy (szkołę handlową i rolnictwo), to człowiek, który go przyjmował, podniósł się z miejsca i oznajmił – ja panu mojej posady nie oddam. Tak więc nie tylko, że było mało miejsc pracy, to trzeba tu było mieć lokalne przygotowanie, znać realia itd. Ojciec więc się zdecydował na jakąkolwiek pracę i poszedł sprzedawać dywany, w dużym sklepie, który wówczas nazywał się Morgan. I sprzedawał je aż do emerytury, na którą przeszedł kilkanaście lat później.

Matka nauczyła się kreślić. Przez jakiś czas pracowała w fabryce samolotów jako kreślarka. Potem pracowała w biurze inżynierskim, które, o ile dobrze pamiętam, robiło m. in. przeróbkę Polskiego Konsulatu w Montrealu. No, a my, młodszy, raz się uczyliśmy, raz nie, zmienialiśmy szkoły, różnie to bywało. Ja nawet w pewnym momencie uciekłem z domu.

Starszy brat Jaś pojechał na zachód Kanady i tam spotkał się z wujem Czartoryskim, mężem siostry mojej matki Anny Zamojskiej. I razem pojechali „szukać skarbów”. Od 1953 czy 54

roku poszukiwał najpierw uranu, potem złota, potem nafty. Pracował w Kanadzie i poza nią - w Stanach, Ameryce Południowej, w Afryce, Azji, nawet w Nepalu. Nadzorował całe ekipy. Był od tego ekspertem. Ożenił się z Rumunką z pochodzenia, ma trzy córki, które założyły swoje rodziny. W latach 90., gdy zmienił się ustrój w Polsce, wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Zajął się walką o scalenie dzikowskich zbiorów, zaczął wytaczać sprawy i porządkować rodzinne dziedzictwo. W międzyczasie urodziły mu się dwie następne córki i po raz drugi się ożenił, z prawniczką.

Moja starsza siostra pierwsza z nas wyszła za mąż za Zdzisława Kryzana, adwokata z poznańskich okolic. Poznali się jeszcze w Belgii, potem on przyjechał do niej do Kanady.



Jan A. Tarnowski z siostrą Marią Kryzan
na tle szaf archiwum, w najstarszej

części zamku, która się nie spaliła w
czasie pożaru w 1927 r, fot. arch.
Marcina Tarnowskiego.

Mój najmłodszy brat Paweł ożenił się z Kanadyjką, Yolandą i teraz mieszkają w Ottawie. Mają dwoje dzieci, i obydwójka są na emeryturze.

Ja, po skończeniu college'u poszedłem na Uniwersytet. Zrobiłem to dla ojca, bo koniecznie chciał, żebym został inżynierem. Ale mnie to zupełnie nie pasowało. Zaliczyłem jeden rok i poszedłem do lotnictwa. Marzyło mi się zostać pilotem, ale zostałem nawigatorem. No i spędziłem część życia w lotnictwie, latałem w tę i z powrotem po Kanadzie, po Stanach. Mam ponad 4 tysiące godzin zaliczonych w powietrzu.

W międzyczasie się ożeniłem. Byłem jedynym z braci, który ożenił się z Polką. Elżbieta była córką majora Rodziewicza, zamordowanego w Starobielsku. Urodziła się w 1940 roku i ojca nigdy nie poznała. Zabawne, bo jej ojciec i mój ojciec, byli przed wojną w tym samym 8 Pułku Ułanów księcia Józefa Poniatowskiego. Nie znali się bezpośrednio, ale wiedzieli o sobie. Mój ojciec był rezerwistą, a jej ojciec w służbie czynnej.

Mamy czwórkę dzieci – córkę i trzech synów. Po 11-tu latach coś

jednak nie grało między nami i rozeszliśmy się. Od tego czasu, oboje żyjemy samotnie, widując się często razem z dziećmi i dzięki Bogu teraz jesteśmy w bardzo dobrej komitywie.

Córka Krysia mieszka w Stanach, ma trzech synów. Na zjeździe w Dzikowie w 2000 roku była Elżbieta z trzema synami. Synowie założyli rodziny, mają też dzieci. Tak więc mam dziewięcioro wnucząt, z przewag chłopców.

Czy któreś z dzieci chce się włączyć w odzyskanie Dzikowa? Nie wiem.

Może najbardziej Michał, mój średni syn, który mieszka pod Ottawą. On pierwszy z braci się ożenił, tak więc jego dzieci są już bardziej samodzielne. Jego żona, mimo, że nie jest Polką, była w Polsce i pozytywnie odbiera naszą tradycję. Dzieci także. Michał zajmuje się stroną internetową Związku Rodu Tarnowskich. Wraz ze swoją matką, Elżbietą pojechał na pogrzeb swojej babki, Róży do Dzikowa w 2005 roku. Bardzo był całą ceremonią przejęty, a szczególnie sprowadzeniem prochów Babci do krypty Tarnowskich pod kościołem oo. Dominikanów w Tarnobrzegu .

Dzieci mówią po polsku, ale żadne nie jest w polskim środowisku. Próbuję dzieciom tłumaczyć, przekazać wiedzę o rodzinie, założyliśmy Związek i mam więc nadzieję, że coś z tego

wyniknie. Ale co dalej będzie? Czas pokaże.



Obraz Matki Boskiej Dzikowskiej w kościele oo

Dominikanów ufundowanym w XVII w.przez
Tarnowskich w Tarnobrzegu.

**Rozmowa odbyła się w 2008 roku. Rozmawiała Joanna
Sokołowska-Gwizdka. Marcin Tarnowski zmarł w 2009
roku.**